

Tłumaczenie z języka niemieckiego i redakcja  
**Stefan Bieniek**

**ZAPIS NAGRANIA MAGNETOFONOWEGO  
DO DOKUMENTACJI POWIATU DOBRODZIEŃ-LUBLINIEC**

Ost-Dok. 129/62/3  
14 VIII G 242

Rozmówcy:

**Dyrektor Okręgowy Wartmann  
były starosta powiatu Dobrodzień-Lubliniec**

**Dr Hopf  
z Dokumentacji Wschodnich Archiwów Federalnych**

Dzień i miejsce rozmowy: 11 stycznia 1962 w Goslar

**Starosta Wartmann:**

*Górnośląski powiat Lubliniec, okrąg administracyjny Opole, został podzielony po I wojnie światowej w wyniku orzeczenia arbitrażowego w Genewie z 1921 r. Większa część z miastem powiatowym Lubliniec trafiła do Polski, natomiast część zachodnia z miastem Dobrodzień, które stało się wówczas miastem powiatowym, wraz z 27 innymi gminami pozostała w Rzeszy. Separacja i przeniesienie miało miejsce w dniu 22 czerwca 1922 r. Sam powiat Dobrodzień objąłem jako starosta we wrześniu 1937 r. Zanim tam dotarłem, przekonałem się, że jest to mały i ze względu na warunki graniczne dość trudny powiat, który się utworzyło. Upewniłem się wcześniej w Ministerium Rzeszy i w pruskim Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, czy mam tam iść jako likwidator, czy rzeczywiście jako starosta. Poinformowano mnie, że właśnie ze względu na politykę graniczną powstrzymali się od dodania tej dzielnicy do jakiegokolwiek innej, ale celowo utrzymali ją w celu ponownego włączenia jej do powiatu Lubliniec, jeśli znowu pozwoli na to wysoka polityka. Było to wówczas możliwe 1. września 1939 roku. 1.9.1939, jakkolwiek smutny na początku tej przegranej wojny światowej, był jednym z najwspanialszych dni wzruszającego doświadczenia dla mnie w moim niewielkim wówczas środowisku zawodowym.*

*W godzinach po południowych 1. września 1939 r. otrzymałem od prezydenta rejencji Rüdiger, wyznaczonego na szefa administracji cywilnej na teren na wschód od poprzedniej granicy, rozkaz*

ponownego przejścia powiatu Lubliniec. Nadal pamiętam zadanie w jego zwięzłości i wszechstronnym znaczeniu; mówiło tylko: „Panie Wartmann, proszę jechać do Lublińca i zająć się powiatem”. I już go nie było. Potem w nocy z 1. na 2. września pojechałem tam z moim starym, zaufanym dyrektorem starostwa Schirmerem, oczywiście nie mogliśmy już tego wieczoru zająć się administracją, lecz odłożyliśmy tylko jakiś ważny materiał, który mogliśmy rozpoznać na pierwszy rzut oka, przede wszystkim zabezpieczyliśmy wszystkie maszyny do pisania przed niemieckim Wehrmachtem w znalezionej przez nas tajnej szafce, abyśmy mieli niezbędny materiał, jeśli naprawę chcieliśmy zacząć, bo w budynku był sztab, który niewątpliwie byłby zainteresowany tymi maszynami. Następnie następnego dnia wezwano przedstawicieli niemieckiego Volksbundu, którzy następnie musieli mi podać nazwiska osób, którym mogłem zaufać w poszczególnych gminach i które mogłyby zostać mianowane burmistrzami. Mianowanie odbywało się w ten sposób, że od żandarmerii zmotoryzowanej otrzymywali zaświadczenie o mianowaniu wraz z bardzo krótką instrukcją postępowania. Podporządkowanie żandarmerii starości, co dawniej uważano za rzecz oczywistą, sprawdził się szczególnie w tej sytuacji, bo bez żandarmerii ustanowienie bezpiecznego połączenia między administracją powiatową i miejską byłoby prawie niemożliwe.

Na pytanie, co znajdowało się z dawnej struktury administracyjnej w momencie przejmowania tego obszaru, mogę odpowiedzieć następująco:

W powiecie znajdowały się 42 gminy, czyli tyle samo co w 1922 r. Zmiana terytorialna nastąpiła tylko w tym zakresie, że gmina Jendryssek, która wcześniej należała do powiatu Tarnowskie Góry i była gminą, w której znajdowała się w Kaletach fabryka celulozy należąca do grupy NATRONAG Waldhof, została wydzielona z powiatu Tarnowskie Góry i włączona do powiatu Lubliniec, gmina Kalety. Na wszelki wypadek przed wejściem w życie ustawodawstwa Rzeszy zmniejszyłem liczbę gmin z 42 do 36; były to bardzo małe gminy, którymi w trudnych warunkach wojennych nie mogła zajmować się samodzielna administracja miejska. Niestety pamiętam tylko cztery. Brakuje dwóch i nie mogłem ich też znaleźć na mapie. Miasta Steblów i Wymysłacz zostały włączone do miasta Lubliniec. Gmina Harbułtowice została włączona do gminy Droniowice, a gmina Chwostek trafiła do Lisowa. Nie mogę już nazwać dwóch zapomnianych. Administracja polska przejęła również powiaty; Ponieważ jednak szefami urzędów byli wyłącznie Polacy z Kongresówki, uciekli oni.

**Dr Hopf:**

Kiedy miały miejsce inkorporacje?

**Starosta Wartmann:**

Przed 1. kwietnia 1940 r. Oczywiście nie wszystkie na raz, bo coś trzeba było przygotować. Z powodu braku odpowiednich ludzi, powiaty zostały przeze mnie odtworzone dopiero w przeciągu 1940/41 w ten sposób, że burmistrz większej gminy był regularnie mianowany starostą dla swojego powiatu i niektórych okolicznych gmin. To, w jakim stopniu administracja polska opierała się jeszcze na systemie niemieckim, wydaje mi się wynikać z faktu, że w biblioteczkę mego poprzednika, starosty polskiego, wśród ksiąg, które były oczywiście stale lub przynajmniej stale używane, znalazłem „Podręcznik dla pruskiego naczelnika” z 1926 r. – niemiecki podręcznik w języku niemieckim, który najwyraźniej został zamówiony, a następnie najwyraźniej nadal był wykorzystywany również przez lokalną administrację policji w osobie naczelnika wydziału.

**Dr Hopf:**

Gdzie był polski starosta?

**Starosta Wartmann:**

Mogę przypuszczać, że polskiego starostę odwołano, tak jak zniknęła cała administracja. Następnie, w publicznym apelu, wezwałem wszystkich urzędników, którzy byli obecni lub mieli jeszcze wrócić, aby wrócili do swoich poprzednich urzędów, aby mieć możliwość odzyskania jekiegokolwiek personelu, który można było dorwać; przy moim małym dobrodzieńskim sztabie, obliczonym na około 24 000 mieszkańców, nie było oczywiście możliwości zrobienia nagle powiatu z 72 000 mieszkańcami, ponieważ w pierwszej kolejności trzeba było zająć się wojennymi regulacjami go-

spodarczymi. Dostałem jednak około 19–22 osób ze starej Rzeszy, przydzielonych przez dowództwo i dla zachowania prawdy historycznej nadmieniam w tym miejscu, że bynajmniej nie były to, jak to się często mówi, osoby wycofane ze służby przez inne urzędy, ale raczej bardzo zdolni pracownicy, których przyjąłem później jako urzędników państwowych do służby w powiecie. Oczywiście byli wśród nich również czarne owce, ale była to zdecydowanie mniejszość.

**Dr Hopf:**

*A więc polski personel posłuchał wezwania?*

**Starosta Wartmann:**

*Tylko bardzo częściowo, bo ci, którzy przybyli z Królestwa Kongresowego w latach po 1922 r., nie wrócili z ucieczki w głąb Polski. Wyjątkiem, być może również charakterystycznym dla sytuacji, był nadinspektor, kierownik urzędu komunalnego. Polacy zachowali też podział na urzędy państwowe i administrację miejską. Tego funkcjonariusza znałem już z pierwszej wizyty, kiedy to stałem się sąsiadem starosty dr. Riesa. Mimo niemieckiego nazwiska, starosta był rodzonym Polakiem z Krakowa i, jak się później dowiedziałem z jego papierów, także członkiem Legionu Polskiego w I wojnie światowej. Nadinspektor posłusznie zgłosił się na wezwanie i najpierw zapewnił w swojej stronnictwo, że dr Ries zawsze miał o mnie bardzo dobre zdanie. U mnie dr Ries też nie miał złej opinii, był polskim kolegą po drugiej stronie. Był z pewnością zdolnym starostą. Nie miałem z nim żadnego związku, nasza znajomość polegała właściwie tylko na wizycie i jego rewizycie w Dobrodzieniu. Nadinspektor był przypadkiem granicznym: pochodził z Prus Zachodnich i przed pierwszą wojną światową wszedł do administracji pruskiej jako bardzo młody człowiek, potem został w tej administracji, gdy Prusy Zachodnie były okupowane przez Polskę i najwyraźniej czuł się tam też Polakiem, przynajmniej to wiadomo, bo inaczej z trudem awansowałby na stanowisko zaufanego naczelnika wydziału państwowego administracji powiatowej u starosty. Przyjąłem go, podobnie jak kilku innych polskich pracowników, ale wszyscy tylko jako pracownicy na umowę i było rzeczą oczywistą, że powierzano im tylko zadania, które nie wiązały się z jakimkolwiek ryzykiem szkody, tj. sprawy socjalne, zdrowotne, w małym stopniu też w biurze handlowym, kasy i muszę powiedzieć, że tych panów cały czas widziałem – czyli do końca października 1942 r., kiedy poszedłem na front – jak dobrze i sumiennie wykonywali swoją pracę i nigdy nie miałem powodów do narzekań. Był jeden wyjątek. Była to stenografistka, która pochodziła z etnicznej rodziny niemieckiej, czyli rodziny, która otrzymała niebieską kartę z Volksliste i którą szczególnie chętnie zatrudniłem, ponieważ jej znajomość języka czyniła ją doskonałym przewodnikiem do zapoznania się z materiałem aktowym. Ta dziewczyna, która równie dobrze mówiła po niemiecku i po polsku, bardzo nas potem rozczarowała, bo pewnego dnia musiała zostać aresztowana przez Gestapo, ponieważ okazała się sekretarką punktu kontaktowego polskiego podziemia.*

**Dr Hopf:**

*Czy później nadinspektor również został wpisany na Volkslistę?*

**Starosta Wartmann:**

*Nie mogę tego powiedzieć, ale chciałbym to założyć, jego nazwisko wyleciało mi z głowy, nie mogłem go sobie przypomnieć, mimo usilnych starań; zakładam, że pan Schirmer może go sobie bez zastanowienia przypomnieć. Doszło więc do tego, że obsada, mierzona warunkami wojennymi, była mniej więcej wystarczająca. Również pod tym względem nie było z partią trudności.*

**Dr Hopf:**

*Kiedy wybuchła wojna, nastąpiły ataki Polaków na etnicznych Niemców w powiecie Lubliniec?*

**Starosta Wartmann:**

*Nie było morderstw na etnicznych Niemcach i nigdy nie słyszałem o znęcaniu się. Wiąże to z tym, że tylko znikomy procent ludności powiatu lublinckiego – nie mogliśmy tego do końca wyliczyć z powodu braku dokumentów – stanowili imigranci z Kongresówki, tacy jak żandarmi, nauczyciele, urzędnicy w dostępnych władzach na szczeblu okręgowym, więc nie było ich zbyt wielu. A jeśli sama ludność zdecydowała niestety w 1921 r. w głosowaniu większością około 56% za Pol-*

ską – dlatego ta część powiatu została od nas oddzielona – była to tylko polityka gospodarcza, jaką często widywano w głosowaniach po wojnie, ponieważ więzi rodzinne z częścią dobrodzieńską były dość silne i kultywowane także w małym ruchu granicznym. I tak mogło się stać, że nawet – jeśli mogę tak powiedzieć – gwałtowni Polacy z Górnego Śląska narzucili sobie od początku pewną powściągliwość w tej dziedzinie. Obszar ten był również strategicznie przeznaczony do oczyszczenia, bo ewakuacja mogła być przeprowadzona tak dokładnie, jak została przeprowadzona, jeśli było się do niej przygotowanym i nie tylko władze były przygotowane, bo w przypadku wojny, jeśli armia niemiecka posunie się naprzód, teren ten będzie musiał zostać oczyszczony. Widać z tego również, że w przeciągu 2. września wojska były już poza moim rejonem i oddalały się w kierunku wschodnim. W nocy z 1. na 2. września, kiedy przyjechałem, wojsko znajdowało się mniej więcej na wysokości tzw. magistrali węglowej, czyli w pobliżu Kolonii Strzebińskiej. A więc to, co leżało na wschodzie, 2. września znalazło się za frontem niemieckim.

Jeśli chodzi o strukturę administracji powiatowej, warto zauważyć, że poza administracją finansową – na to istniał specjalny urząd skarbowy – Polska zachowała administrację jednolitą. Wydział administracji zatrudnienia mieścił się w skrzydle gmachu starostwa powiatowego i wkrótce mogłem zaprowadzić ówczesnego asesora rządowego Dienera, który został tam przydzielony jako kierownik Urzędu Pracy, do jego pomieszczeń z dokumentami. W tym czasie władze specjalne podlegały starostom powiatowym, które to podporządkowanie zostało ponownie zniesione w 1940 r. i przeciwko któremu od początku występowali wysocy urzędnicy administracji specjalnej. Zauważyłem to bardzo wyraźnie. Współpraca z asesorem Dienerem układała się zawsze bardzo dobrze, dopóki nie odwiedzał go prezes Państwowego Urzędu Pracy Ordemann. Kiedy ten tam był, asesor przychodził do mnie regularnie wyrażać życzenia, protesty i obawy, które, jak zauważyłem, nie pochodziły od niego. Jak już mówiłem, gdy w 1940 r. weszło w życie ustawodawstwo Rzeszy, władze specjalne znów poszły zupełnie swoją drogą i utworzono własny Urząd Pracy w dawnym klubie ewangelickim, który dzierżawiła administracja zatrudnienia i wtedy warunki były znowu, jak w starej Rzeszy. Połączenie powiatu – początkowo część administracji znajdowała się w Lublińcu, część w Dobrodzieniu – nastąpiło 1. lutego 1940 r. W tym czasie opróżniłem budynek starostwa powiatowego w Dobrodzieniu i przenieśliśmy się do Lublińca. Formalne zjednoczenie powiatów nastąpiło dopiero 1. kwietnia 1941 lub 1942 r. (nie mogłem już tego znaleźć w dzienniku ustaw). To był raczej deklaratoryjny akt, bo w międzyczasie – a to była moja praca – połączyliśmy obie strony.

Na temat przyjmowania miejscowych urzędników państwowych i zatrudniania ich w niemieckiej administracji już się wypowiedziałem. W tym miejscu chciałbym podkreślić, że okręgowe kierownictwo partii nie przeszkodziło mi w zatrudnieniu polskiego personelu, jak to podobno miało miejsce gdzie indziej. Tylko raz - nie bezpośrednio, a tylko pośrednio – dano mi do zrozumienia, że zdziwiono się, że ci panowie też brali udział w corocznym wyjeździe firmowym czy festynie zimowym. Uważałem to za słuszne i tak długo, jak tam byłem, to było robione, ponieważ jeśli pozwolisz ludziom wnieść swój wkład, nie powinni stać z boku na uroczystościach. I miałam wrażenie, że to równe traktowanie może mieć tylko pozytywny wpływ na ich chęć do pracy. O tym, że panowie na to zasłużyli, świadczy fakt, że do końca dobrze wykonywali swoją pracę.

Niewiele mogę powiedzieć o kwestii natychmiastowych działań w celu zabezpieczenia i pacyfikacji powiatu. Mosty i przepusty drogowe zostały wysadzone w powietrze przez wojsko lub personel budowy dróg, który otrzymał takie polecenie, ale można je było stosunkowo szybko odbudować. Rzeczywista pacyfikacja nie była więc konieczna. Żandarmeria też nie zgłosiła żadnego buntu. Jedynym niemiłym przypadkiem było to, że pewnego dnia w nieco odległej części w rejonie Koszęcina pewien chłopiec rzucił kamieniem w mój samochód. Więc jak widać, nie potrzebowaliśmy tam pacyfikacji. Moim zdaniem jest to dowód, że ten teren, mimo 17 lat polskich rządów i administracji, ze względu na swoją naturę i mimo całej niemieckopolskiej mieszanki językowej („Wasserpolnisch”), a później języka polskiego, czuł, że należy do dawnych Prus, a więc do Niemiec, do których należał od samego początku; przed 1742 r. był austriacki, a więc także w niemieckim obszarze kulturowym.

**Dr Hopf:**

*W grudniu 1939 r. dokonano tam rejestracji ludności, czyli tzw. akcji odciskowej, tj. rozdano tam kwestionariusze z pytaniami o język ojczysty lub pochodzenie etniczne, a następnie wydano zaświadczenia o rejestracji i pobrano odciski palców. Po co była ta akcja? Wiele na ten temat napisano ze strony polskiej.*

**Starosta Wartmann:**

*Nie pamiętam tej akcji i chciałbym powiedzieć, że gdyby to był powszechny środek administracyjny, to powinien był go znać. Ponieważ stało się to później, do tego przejdę jeszcze, że Gestapo prowadziło działania bez naszej wiedzy, o czym dowiadaliśmy się dopiero, gdy zobaczyliśmy efekty.*

**Dr Hopf:**

*Jak podają polskie publikacje, ta tzw. akcja odcisków palców została przeprowadzona przez starostwa powiatowe.*

**Starosta Wartmann:**

*Możliwe więc, że niektóre środki ominęły mój powiat.*

**Dr Hopf:**

*Powiat Lublinicki nie jest wymieniony ani wspomniany w polskich esejach na ten temat, ale wymieniane są inne powiaty, przede wszystkim jednak powiaty wschodniego Górnego Śląska, ale wspomniano też o Katowicach.*

**Starosta Wartmann:**

*Nie, cóż, w ogóle nie pamiętam kampanii odcisków palców, ale właściwie powinienem ją zapamiętać, ponieważ jeśli pobiera się odciski palców populacji powyżej 50 000 – jak w tym powiecie – to wciąż jest to kampania, która jest nieco zauważalna. Radziłbym może zapytać pana Schirmera, czy ją pamięta.*

**Dr Hopf:**

*Ta akcja miała być przeprowadzona przez policję.*

**Starosta Wartmann:**

*Jeśli chodzi o zabezpieczenie żywności i zapotrzebowanie na dobra konsumpcyjne, miałem stosunkowo korzystną pozycję wyjściową, ponieważ połączenie z Dobrodzieniem, częścią dawnej Rzeszy, działało od samego początku, tak że np. hurtownicy i handel detaliczny – ten nawet z filiami – jeździli do Lublińca, niektórzy byli nawet repatriantami z 1922 r., więc tutaj pod tym względem szło całkiem nieźle. Bardzo wcześnie, bo jeszcze w 1939 r., zatrudniono urzędowego rolnika powiatowego i współpraca układała się dobrze. Nie wpadam teraz na jego nazwisko. Ponieważ powiat Lubliniec był w przeważającej mierze rolniczy, było oczywiste, że to, co niezbędne, było dostępne. Jedną z trudności było rozpoczęcie zniw, ponieważ od 1. września występowały utrudnienia i pewien zastój. A ponieważ ludzie w tym czasie nie pracowali traktorami i musieli polegać na koniach, podjąłem wtedy następujące działania: w podróży służbowej do mojego szefa administracji wojennej Rüdigera na teren Polski, wówczas teren wojskowego zaplecza, zauważyłem, że w dużych stadninach spędzono całą masę koni, tak dużo, że trudno było je wykarmić, i znalazłem dwóch bardzo zdolnych pomocników, z których jednym był radny do spraw rolnictwa dr Blechschmidt, ówczesny kierownik szkoły rolniczej w Dobrodzieniu, który obecnie prowadzi szkołę rolniczą w rejonie Celle, a drugim był Frank – administrator Donnersmarka w majątku Lubsza. Zebrali mały zespół, wyposażony w uździenice. Gdy zostali wyposażeni w środki transportu, przede wszystkim w niezbędne wówczas papiery, udali się do Królestwa Kongresowego łapać konie i, o ile pamiętam, przywieźli ponad 200 koni w dwóch transportach. Co znamienne, akcja stała się niemożliwa dopiero wtedy, gdy sąsiednie powiaty dawnej Rzeszy poskarżyły się we Wrocławiu na to, jak staroście w Lublinicach udało się przywłaszczyć konie. Wehrmacht na drodze służbowej zakazał tego, przynajmniej nie mogłem rozpocząć trzeciej akcji. Te konie zostały następnie rozdane rolnikom, ale nie zostały rozdane – o rozdawane nie dba się wystarczająco – dlatego zostały sprzedane po cenie atencyjnej. Była to pierwsza podstawa budżetu na promocję hodowli koni w powiecie lublinieckim.*

**Dr Hopf:**

*Więc to były wszystko konie wojskowe?*

**Starosta Wartmann:**

*Tak, wszystkie zdobyczne konie to konie wojska niemieckiego. Jakies 2 lata później ponownie poinformowano mnie, że jest to własność armii niemieckiej. Starszy lekarz weterynarii z wrocławskiego biura podszedł do mnie i powiedział, że odkryli, że łapałem konie; to jest własność Rzeszy, a za tę trzeba oczywiście teraz zapłacić. W toku negocjacji, po tym, jak udowodniliśmy, że przekazaliśmy te konie tylko za niewielką opłatą uznaniową, doszło do nieco zabawnego kompromisu: nastąpiła zamiana rzeczowa, tj. żrebacki pochodzące od tych klacz należały do Rzeszy i należało je oddać do dyspozycji Rzeszy. W 1942 roku poszedłem na front i nic więcej nie słyszałem o tej sprawie, dlatego nie mogę powiedzieć, jak mogło dojść do tego dziwnego kompromisu. Można powiedzieć, że już na przełomie 1939/40 r. zaopatrzenie w towary w powiecie lublinieckim nie było ani lepsze, ani gorsze niż w starej części Rzeszy. Powstało zawężenie w dostawach węgla do wspomnianych wcześniej zakładów NATRONAG w Kaletach, co było oczywiście ważne z punktu widzenia gospodarki wojennej i miało zostać bardzo szybko postawione na nogi. Nieżyjący już dyrektor dr Lentholt, który później pracował tutaj w NATRONAG w Oker, zajął się tym zadaniem z dużym entuzjazmem. Z dr Lentholtem od 3.9. bardzo ściśle ze sobą współpracowaliśmy i udostępniłem mu moją ciężarówkę z przyczepą, która została mi przydzielona w ramach służby do wykonywania transportu żywności, ale nie była do tego celu potrzebna. Więc ten samochód, ze zmieniającą się załogą kierowców, bez przerwy dowoził węgiel do Kalet, żeby tam można było zacząć pracować. Fabryka wówczas w czasie wojny rozwijała się bardzo dobrze i miała całkiem przyzwoitą produkcję odpowiednich wyrobów.*

*Później pojawiły się pewne wąskie gardła w rolnictwie, ponieważ Urząd Ziemi SS na własną odpowiedzialność umieścił dużą liczbę powierników na około 60% gospodarstw. Nie było powiernika w każdym gospodarstwie, ale jeden powiernik był odpowiedzialny za kilka gospodarstw, co miało niezwykle hamujący efekt. Podopieczni byli oczywiście bardzo mało zainteresowani, bo zawsze bali się, że mimo wszystko stąd się wyniesiemy, po co jeszcze tu się trudzić.*

**Dr Hopf:**

*Na jakich gruntach ulokowano powierników?*

**Starosta Wartmann:**

*Urząd Ziemny SS decydował o tym we własnej kompetencji.*

**Dr Hopf:**

*Częściowo prawdopodobnie na bezpańskich gruntach?*

**Starosta Wartmann:**

*Jedynie właściciele kilku większych gospodarstw uciekli, ale żadne z gospodarstw nie zostało opuszczone, tego nie pamiętam. Z wyjątkiem Łagiewnik Wielkich. Polacy wzniesli tu osadę graniczną. Ci mężczyźni, których, że tak powiem, używano jako gorsetów na obszarze przygranicznym, zniknęli, ale poza tym rolnicy pozostali w swoich gospodarstwach.*

**Dr Hopf:**

*Później właściciele, których majątki zostały oddane w zarząd powierniczy, zostali wpisani na Volkslistę, Volkslistę 3, co oczywiście było bardzo nieprzyjemną sytuacją.*

**Starosta Wartmann:**

*Tak, ale udało mi się wyeliminować te nieprzyjemne stany w oryginalny sposób. Kiedy powstała Volkslista i sukcesywnie wpisywano właściciele gospodarstw na Volkslistę, byli to Niemcy. Nawet jeśli dokonano rozróżnienia między różnymi kategoriami, na liście osób był Niemiec. I w rezultacie podstawa konfiskaty na powiernictwo odpadła. Zgłosiłem to następnie do biura Urzędu Ziemi SS w Katowicach; oni w żaden sposób nie kwestionowali mojej opinii prawnej, ale bardzo grzecznie mi wyjaśnili, że nic nie da się z tym zrobić, to była instrukcja odgórna i tak musi zostać. I tak zrobiliśmy: w moim powiecie był starosta a.D., a późniejszy premier Dolnej Saksonii Kopf. Mianowicie*

pan Kopf został powołany do wojska jako dyrektor Głównego Biura Powierniczego zarządzającego nieruchomościami na naszym terenie. Mieszkał w majątku Sadów pod Lublińcem i miałem z nim bardzo dobry kontakt. Uzgodniłem z nim, co następuje: dwóch rolników, którzy nie tylko zostali umieszczeni na Volksliście, ale o których zawsze myśleliśmy, że nigdy nie powinni być powierzani, ponieważ były to całkiem jasne przypadki, aby animować wydalenie powierników z gospodarstwa. Byli to niemieccy rolnicy i powiernicy nie mieli nic do nich. Uczynili, co poradziliśmy, żeby się sprzeciwić nasadzaniu powierników. Zgodnie z naszymi przewidywaniami, niezwłocznie wpłynęło zawiadomienie do prokuratury o stawianiu oporu władzy państwowej. Po tym, co się stało, pojechałem do p. Schulza – niestety później zmarł – sędziego karnego, który był jednocześnie sędzią nadzorczym i przedstawiłem mu moją opinię prawną, że brakuje tu znamiona bezprawności, gdyż ustawowo ustalono, że byli to rolnicy niemieccy i należało uzyskać uniewinnienie. Radca Sądu Rejonowego dr Schulz zgodził się z tym poglądem i faktycznie były dwa uniewinnienia. Szczęście nadal nam sprzyjało, bo prokuratura nie złożyła w terminie apelacji i wyroki stały się prawomocne. Następnie zwróciłem uwagę burmistrzom i naczelnikom wydziałów, że sytuacja prawna została już wyjaśniona i poleciłem żandarmerii, aby odrzucała przyszłych syndyków proszących o pomoc prawną i kierowała ich do mnie. Oczywiście bardzo szybko się to przyjęło i powiernictwo zostało skutecznie zakończone w krótkim czasie. Raz zdarzyło się coś jeszcze, ale na szczęście byłem już wtedy na froncie. Dobry sędzia dr Schulz po prostu włączył moją opinię prawną do uzasadnienia swojego wyroku. Są to złe maniery nie tylko wymiaru sprawiedliwości, bo gdy wyrok ten dotarł już do wyższych władz, okazało się, że uzasadnienie decyzji sędziego rejonowego w Lublińcu odpowiadało dosłownie fragmentom protokołu, który lubliniecki starosta przekazał do prezesa rejencji. Starosta ówczesny, poproszony o wyjaśnienie, nie mógł go udzielić, a ja sam w międzyczasie byłem na froncie i sprawa prawdopodobnie nie została uznana za aż tak ważną, aby w Rosji rozpocząć poszukiwanie wachmistrza Wartmanna w celu prowadzenia śledztwa. Sprawa się na tym skończyła. Pan Kopf nie miał nic wspólnego z tymi pytaniami jako takimi, ponieważ do zadań spółki nieruchomościowej nie należały sprawy rolnicze. Znałem go osobiście i w tym czasie dużo dyskutowaliśmy nad zadanymi pytaniami, miałem też z nim do czynienia w sprawach firmy nieruchomościowej.

Trudności pojawiły się, gdy aptekarze uciekli, a następnie zleciliśmy drogeriom tymczasowe dostarczanie leków, co nie było całkowicie pozbawione ryzyka, ale lepsze to niż nic. Do dziś pamiętam jeden incydent, charakterystyczny dla ówczesnych warunków pracy. W Koszęcinie poleciłem tamtejszemu właścicielowi drogerii pilnować zapasów tamtejszej apteki i, z wyjątkiem trucizn i takich rzeczy, które oczywiście wymagają recepty, używać tych rzeczy i rozdawać ludności. Pewnego dnia dowiedziałem się, że ta drogeria została zamknięta przez Gestapo, ponieważ okazało się, że ten właściciel nie jest czysto aryjskiego pochodzenia. Do dziś nie wiem, czy to była prawda, w każdym razie przywróciłem mężczyznę do pracy i umieściłem pod opiekę miejscowego posterunku żandarmerii; tu znowu przykład, jak dobrze i jak ważne było to, że policja w powiecie podlegała starości. Jego samochód, który zaopatrzyłem w czerwony trójkąt, bo oczywiście często musiał jeździć do starej Rzeszy po lekarstwa, uznała też bezpieka i nadal widzę rozpromienionego sierżanta żandarmerii meldującego mi, że udało mu się ponownie wydobyć ten pojazd z bezpieki. Swoją drogą mały przykład tego, że nie ryzykowałeś od razu życia, jeśli myśląc o porządku, przeprowadzałeś środki. W każdym razie nie spotkałem się z żadnymi negatywnymi konsekwencjami prawnymi w wyniku zastosowania takich środków.

Jeśli chodzi o finanse, obawiam się, że nie mogę podać żadnych liczb. Nie mamy ich też w domowym kalendarzu, który przekartkowałem i polecam zapytać pana Schirmera, Dyrektora Urzędu Powiatowego, który przez lata pracował w sektorze finansowym, zawsze wykazywał się bardzo dobrą pamięcią i z pewnością da tu wartościowy wkład.

Ponieważ nie można było się pozbyć pieniędzy, rosły one tak, że mieliśmy coraz większe nadwyżki. Trudno powiedzieć, czy tę sytuację finansową można obecnie określić jako zdrową. Można by

to osądzić tylko wtedy, gdyby można było ponownie podejść do zadań w warunkach pokojowych; dopiero wtedy wykazano by, czy własne źródła finansowania powiatu odpowiadały w jakimś stopniu nakładowi pracy wymaganemu dla jego zadań. W każdym razie nie było trudności finansowych. Pamiętam, bo to była jedna z najwyższych kwot, że przeznaczono od 225 do 230 tys. RM na remont szkół, a przede wszystkim na stworzenie mieszkań dla nauczycieli. W okresie polskim Rzeczpospolita zrobiła na tych terenach przygranicznych całkiem sporo. Kiedyś porównywałem wówczas budynki szkolne z ludnością i musiałem zdać sobie sprawę, że w latach po 1922 r. w części lublinieckiej było prawie dwa razy więcej nowych budynków szkolnych niż tutaj w powiecie Dobrodzień. Z innych dokumentów w waszym archiwum wiadomo też, że 40% ostatniego budżetu województwa katowickiego przeznaczono na kulturę, ale dziwne było to, że prawie nie zapewniono żadnych mieszkań dla nauczycieli. W nowym budynku znajdowało się co najwyżej mieszkanie nauczycielskie, oczywiście nowe i nowoczesne, ale bardzo małe i w naszej opinii raczej nieadekwatne. Ale nauczyciele byli tam chyba mało wymagający. Oczywiście bardzo ważne było, aby jak najszybciej stworzyć tam odpowiednie warunki dla naszych nowych nauczycieli i ich rodzin, a także zaprojektować cały szereg klas lekcyjnych, dla których nie było nowych budynków, i to w taki sposób, aby można było tam prowadzić właściwie nauczanie. Więc pieniądze były, udało się zorganizować materiał i siłę roboczą. Administracja pracy, która w międzyczasie się wzmocniła – jak wspominałem wcześniej – była zależna od naszych burmistrzów, jeśli chodzi o rejestrację siły roboczej. Kiedy szef Urzędu Pracy powiedział mi kiedyś, że tak dalej być nie może, że cały czas zauważa, że budowa kręci się w kółko i że będzie musiał całkowicie odjąć te siły robocze, powiedziałem mu, że rozumiem jego punkt widzenia, ale jeśli Rzesza da mi pieniądze i wyznaczy mi zadanie jako ważne, to muszę je wykonać. Powiedziałem: „Zasugeruję ci kompromis, wyznaczmy pracowników, więc zawsze możesz zgłosić sukces, ale trzymajcie ręce z dala od ludzi, którzy pracują na naszych budynkach”. Szef Urzędu Pracy wyjaśnił mi wtedy, że nie może na to pozwolić, ale i tak dotrzymał naszej umowy. Zmieniło się to jednak w ciągu 1940 r., ponieważ nie było już wtedy materiałów budowlanych, a zarządzenia kuratora pracy Rzeszy wobec urzędów pracy zaostrzyły się, tak że właściwie nie można już było wykonywać pracy siłami stawianymi przez te urzędy.

**Dr Hopf:**

*Czy wtedy wysyłano robotników do dawnej Rzeszy?*

**Starosta Wartmann:**

*Tak, były zobowiązania służbowe. Poszukując ludzi do obowiązków służbowych, kierownik urzędu pracy natknął się na tych robotników, których widział tam pracujących na naszych budynkach; wprawdzie odbywało się to bez wyjątku w formach obowiązków służbowych przewidzianych prawem – nigdy nie było łapanek, ani zatrzymań ludzi w powiecie lublinieckim, jak to ponoć miało miejsce w Generalnej Guberni.*

**Dr Hopf:**

*Z dostępnych nam opisów wynika, że bezrobotnych najpierw wprowadzano do urzędu pracy poprzez wypłacanie zasiłków dla bezrobotnych, co również wiązało się z rejestracją i przekazaniem do dawnej Rzeszy.*

**Starosta Wartmann:**

*Zasiłkami dla bezrobotnych nie było tak łatwo skusić, bo w powiecie rolniczym ludzie mieli co jeść i mieli też mieszkania, więc nie musieli się martwić o zasiłki dla bezrobotnych.*

**Dr Hopf:**

*Chciał Pan nam coś powiedzieć o przemyśle i handlu.*

**Starosta Wartmann:**

*Z góry nadmieniam, że wielkim sukcesem było to, że osiem gmin we wschodnio-górnośląskim powiecie Lubliniec mogło być jeszcze zaopatrywanych w energię elektryczną. Bardzo mi się przydał fakt, że kontyngenty w tej wschodniej części powiatu nie przychodziły z Dolnego Śląska, ale z Katowic i Chorzowa. W ten sposób elektryczność w Chorzowie zdołała zaopatrywać w prąd osiem gmin.*



## **Dr Hopf:**

*Czy dokonano innych dużych inwestycji?*

## **Starosta Wartmann:**

*Nie, nie można mówić o większych inwestycjach. Wydział zdrowia Dobrodzienia został po prostu przeniesiony do Lublińca, odpowiednio rozbudowany na tyle, na ile pozwalały na to warunki wojenne, i działał tak, jak państwowy urząd zdrowia ma pracować, ale specjalne działania w tym zakresie nie były już możliwe. Szpital lubliniecki, który należał do województwa, został później przejęty przez rejencję i od 1942 r. pełnił funkcję szpitala wojskowego.*

*Nie było też więcej rozbudowy zakładów zaopatrzeniowych. Jeżeli wolno mi dołączyć główne dane do mego meldunku z dnia 22 kwietnia 1941 r. skierowanego do prezesa Rejencji w Opolu, to muszę stwierdzić, że pierwszą była rozbudowa i przebudowa kamieniołomów wapienia Ostland w Lipiu w celu produkcji wapna nawozowego. Tego jeszcze próbowano, ale za moich czasów do 1942 roku już tego nie dokonywano. Nie było też możliwości przestawienia istniejącej cegielni na pracę ciągłą. W tym czasie planowano jeszcze użycie sił rolniczych w miesiącach zimowych, ale zapotrzebowanie na inne wojenne potrzeby gospodarcze było tak duże, że nie było już nadwyżki sił. Nie powstał też większy warsztat naprawczy maszyn rolniczych; istniejące firmy musiały sprostać popytowi najlepiej, jak potrafiły. Przędzalnia przędzy chesankowej w Lublińcu, która powstała tu na krótko przed I wojną światową, nie mogła już zostać uruchomiona z powodu braku surowca; ostatnio jest używana jako miejsce do przechowywania odzieży i sprzętu Wehrmachtu; fabryka skór i pasków Mochalla w gminie Hadra została całkiem dobrze wznowiona; dyrektor zarządzający Tibor Hegedüs, obywatel Węgier, włożył tam prawdziwy wysiłek; byłem też w stanie wystarczająco go wesprzeć, zwłaszcza czerwonym trójkątem na pojeździe i pewnymi przydziałami paliwa. Był aktywny i zręczny, i oczywiście, jak wszyscy tacy ludzie, nie przesadnie skrupulatny. Miałem plan – i on bardzo to popierał – założyć pilnie potrzebny zakład utylizacji zwłok zwierzęcych, bardzo blisko, tak aby możliwe było pewne minimalne zaopatrzenie dla tej fabryki skóry. Niestety, w latach 1941/42 warunki na budowie stały się tak trudne, że sytuacja się już nie powtórzyła. Nie wiem, czy fabryka mogła jeszcze pracować do końca wojny; kiedy jednak w 1942 r. poszedłem na front, ona pracowała. W przeciwnym razie w tym rolniczym powiecie jest niewiele miejsca na inwestycje przemysłowe i handlowe. Jak powiedziałem, operacje, które chciałoby się wznowić, operacje specjalne, takie jak przędzalnia przędzy chesankowej, nie mogły zostać wznowione. Jeśli chodzi o system kredytowy, działał on znakomicie. Powiatowa Kasa Oszczędności Dobrodzień natychmiast przejęła ten teren i majątek Powiatowej Kasy Oszczędności w Lublińcu. W ciągu jednego roku centrala w Dobrodzieniu została przekształcona w główny oddział i mieliśmy ujednoliczoną kasę oszczędnościową. Jeszcze w czasie wojny, około 1940/41 r., na odzyskanych terenach funkcjonowały trzy główne filie: w Koszęcinie, Kaletach i Woźnikach. Powiatowa Kasa Oszczędności była dla mnie bardzo ważnym barometrem gospodarczym, ponieważ porównanie rozwoju depozytów w części dobrodzieńskiej i lublinieckiej pokazało bardzo wyraźnie, jak nadwyżka pieniędzy w dawnej Rzeszy w części powiatu wpływała do oszczędności bankowych i zakładano tam olbrzymie konta, podczas gdy rozwój części lublinieckiej pozostawał tak daleko w tyle, że nie można tego tłumaczyć istnieniem uboższej ludności. Badanie wykazało, że powiernicze gospodarstwa powstrzymywały się, obawiając się, że nigdy nie odzyskają pieniędzy z kasy oszczędnościowej. Myślę, że porównanie rozwoju tu i tam kas oszczędnościowych bardzo mi też pomogło w wykorzystaniu moich raportów do spowolnienia działań takich instytucji jak Urząd Ziemski SS i do stopniowego wprowadzania warunków w lublinieckiej części do których byliśmy przyzwyczajeni w starej, czyli dobrodzieńskiej części Rzeszy. Te dwie części szybko zrosły się w jedno. Tylko po klęsce jedna rzecz była inna: podczas gdy ludność Dobrodzienia z zachodniej części pośpiesznie masowo uciekała, większość naszych ludzi w części lublinieckiej pozostawała tam i jest tam do dziś; korespondencja znów się zaczęła, jest oczywiście bardzo utrudniona, ale można powiedzieć, że w tamtejszych rodzinach nadal mamy punkty zaczepienia w niemałym stopniu. Mielibyśmy również punkty kontaktowe, gdyby to było możliwe w ramach wielkiej polityki, że możemy ponownie zająć się tym obszarem.*

**Dr Hopf:**

*Przedsiębiorstwa przemysłowe, które istniały w Lublińcu, były początkowo również objęte zarządem powierniczym, o ile nie były to firmy całkowicie niemieckie.*

**Starosta Wartmann:**

*Tak, oni też podlegali powiernictwu, zrobiłem z nimi bardzo dobre doświadczenia, o ile nie dostaliśmy byle jakich renesansowych natur urzędniczych ze starej Rzeszy, które mogły być przeciw ludności – młodsze pokolenie mówiło najpierw tylko po polsku – i narobić szkód, ale w bardzo dużej mierze byli to dobrodzieniaczy z tej samej branży, tj. sklepikarze, pracownicy drogerii, handlarze tekstyliami itp. Ci głównie ludzie stamtąd znali sytuację, oczywiście nie przyszli też z czystego patriotyzmu, ale od początku mieli dobry kontakt. Natychmiast wnieśli – co było trudniejsze na innych obszarach, gdzie powiernicy przybyli z Badenii lub Nadrenii – cały pakiet relacji do handlu hurtowego i natychmiast to wykorzystali. U nas nie miało miejsca zamykanie działalności gospodarczej z braku rentowności. Do interesu wchodził nowy człowiek i obejmował powiernictwo. Zamknięcia nastąpiły dopiero w 1942 roku. Były to działania wojenne przeprowadzane w całym kraju.*

**Dr Hopf:**

*Kiedy dawni właściciele zostali wpisani na Volksliste, czy odzyskiwali swoje firmy?*

**Starosta Wartmann:**

*To było dla nas korzystne, że w firmach, do których przenieśli się nasi dobrodzieniaczy, byli ludzie, którzy odeszli i nigdy nie wrócili. Pamiętam kilka mniejszych transakcji, które musiały zostać zwrócone po Volksliste, ale musiały to być tak szczęśliwe przypadki, że zainteresowani powiernicy mogli wycofać się bez dalszych ceregieli i bez strat, dzięki czemu cała relacja między administracją a główną organizacją powierniczą przebiegała gładko i poszło dobrze, z wyjątkiem niefortunnego Urzędu Ziemskiego, który z punktu widzenia uporządkowanej administracji wyrządził spore szkody, podczas gdy inne urzędy wykazywały się dużym wyrozumieniem (w interpretacji przepisów)\*, jak np. spółka nieruchomościowa, którą kierował pan starosta a.D. Kopf. Ci bardzo się starali i odnieśli wielki sukces w renowacji domów, których właściciele uciekli – byli to w zasadzie kongresowi Polacy, którzy nie wrócili. Przede wszystkim wyremontowano dwie bardzo porządne restauracje, winiarnię i bardzo przyzwoity hotel ze środków spółki majątkowej, która już w czasie wojny wykazała się jako swoisty ośrodek kulturalny do zebrań i organizowania imprez kulturalnych. Współpraca układała się dobrze, jedynym wymaganiem starosty Kopfa było to, że albo otrzymałeś od niego niezbędne zaświadczenia, albo przymykałeś oczy na pewne rzeczy i zachowywałeś się tak, jakbyś tego, czy tamtego nie widział i przyjąłeś wtedy sukces jako rzecz oczywistą.*

*Z wyjątkiem rozbudowy szkoły i remontu opuszczonych domów, działalność budowlana była minimalna. Warunki wojenne od początku dały się odczuć jako przeszkoda. Do 1941 r. w drogownictwie mogło się jeszcze wiele wydarzyć, więc remontowaliśmy najgorsze odcinki; duże, intensywniejsze remonty nie były już możliwe. Poniesione koszty nie są mi znane, ale nie mogły być bardzo wysokie. Po tym, jak w pewnym stopniu przeprowadziliśmy nasz pierwszy zamiar, wycofywano coraz więcej sił i w końcu żadnych nie zostało. Jeńcy wojenni byli wykorzystywani w leśnictwie i rolnictwie. Przez jakiś czas mieliśmy w leśnictwie Anglików, którzy byli świetni w udawaniu – byli to politycznie nastawieni Anglicy – jakby byli wiecznie zajęci pracą, ale leśnicy powiedzieli mi później, że nie osiągnęli nic znaczącego. Kiedy powiedziałem to grupie Anglików podczas mojej wizyty w Anglii w 1951 roku, było wielkie rozbawienie, gdy niektórzy przedsiębiorcy powiedzieli mi: „Doświadczyliśmy tego samego z waszymi ludźmi w naszych fabrykach”.*

*Nie było większych planów. Raport z 1941 r., który znajduje się w Archiwum Federalnym, mniej więcej przedstawia rozwój wydarzeń, który być może mógł mieć miejsce, ale nie został spełniony. O sprawach zewnętrznych szkoły już mówiłem. W gminach istniały więc zwykle szkoły podstawowe. w Lublińcu nadal istniało gimnazjum i liceum. W 1940 lub 1941 r. dodano państwową placówkę oświaty politycznej, która powstała na terenie dawnego zakładu dla głuchoniemych.*

**Dr Hopf:**

*Czy dzieci Polaków miały możliwość chodzenia do szkoły?*

**Starosta Wartmann:**

*Nie mogę powiedzieć z absolutną pewnością, czy ta sprawa została załatwiona wszędzie jednakowo. Cel nasz i kuratorium był ten sam i założyliśmy – jak to było możliwe – jak najmniej różnicowania i dyskryminacji. A ponieważ, jak powiedziałem, wszyscy, z nielicznymi wyjątkami, kongresowi Polacy wyjechali i pod tym względem też nie przeżyliśmy żadnych trudności. Nie przypominam sobie, żeby gdzieś w gminie były dzieci, które nie chodziły do szkoły. Mogło być bardzo, bardzo niewiele, którym odmówiono włączenia na Volkslistę.*

*O policji można powiedzieć, że nie przejęto żadnych istniejących organizacji polskich, ani też nie trzeba było ich rozwiązywać, bo żadna nie istniała. W pierwszych dniach września mianowano powiatowego komendanta żandarmerii i ku mojej wielkiej radości wkrótce został on zastąpiony przez mojego starego powiatowego komendanta w Dobrodzieniu, który doskonale znał sytuację i na którym mogłem bardzo polegać. Był to kapitan żandarmerii Simon, który pod koniec zginął. Żandarmeria została nieco wzmocniona stosownie do warunków wojennych, tak że od początku ustawiliśmy ten aparat jak w dawnej Rzeszy. Miejska policja bezpieczeństwa (Gestapo i policja kryminalna) została utworzona tylko w mieście Lubliniec, poza tym istniała tylko żandarmeria.*

*Wspomniałem już o Urzędzie Ziemi SS, a sama NSDAP pojawiła się tu dopiero w 1940 roku. Wcześniej, z powodu jakiegoś wyższego rozkazu, nie wiem, czy z centrali w Monachium i było uzgadnianie z rządem Rzeszy, partia nie wносиła nic w tych sprawach, tj. tylko się informowała. Powiatowy szef w Oleśnie utrzymywał ze mną kontakt. Właściwa praca partii z kierownictwem okręgu, grupami lokalnymi itp. oficjalnie rozpoczęła się dopiero w styczniu 1940 r.*

**Dr Hopf:**

*Pewnie była też w części dobrodzieńskiej?*

**Starosta Wartmann:**

*Dobrodzień oczywiście należał do kierownictwa okręgu (NSDAP) w Oleśnie. Niestety, komendant powiatowy Preis opuścił ten obszar i udał się do Raciborza. Niejaki Lehmann pochodzący z Bolesławca był jego następcą. Z braku empatii założył, że wszyscy znają niemiecki, a nie można było się tego spodziewać, biorąc pod uwagę panujące tam warunki. W ogóle się zdziwił, kiedy nawet starzy ludzie mówili tylko po polsku, przynajmniej mieszkanką językową. Jak wiadomo, państwo pruskie było kiedyś bardzo hojne. W mojej części dobrodzieńskiej miałem nawet bardzo starych ludzi, którzy wciąż uczyli się niemieckopolskiej mieszanki językowej w czasach szkolnych i od których nie można było oczekiwać, że opanują język niemiecki. Wpadł też na pomysł, aby komendant NSDAP był zwierzchnikiem starosty; więc oczywiście było kilka mocnych argumentów, które były tak gruntowne, że miałem rzadkie szczęście, że pewnego dnia ten komendant został ponownie zastąpiony. W ślad za nim szedł komendant powiatowy Wilsch, etniczny Niemiec z Tarnowskich Gór, który doskonale orientował się w sytuacji, zwłaszcza przy sporządzaniu Volkslisty, szedł bardzo rozsądną linią i dzięki któremu od tej pory między administracją a partią istniała całkiem zadowalająca relacja. Wkrótce po tym, jak sam poszedłem na front w 1942 r., i on też został żołnierzem. Mówi się, że jego następcą, komendant okręgu wojennego, miał mniej udaną działalność. Odnotowano wpływ partii na obsadę kadrową. W moim urzędzie mniej, za to przy obsadzaniu pełnoetatowych stanowisk burmistrzów. Szczególnie aktywny był komendant okręgowy Schramm we Wrocławiu. Byliśmy wtedy jeszcze zależni od Wrocławia i do dziś pamiętam dość nieprzyjemną pertraktację z prezydentem rejencji w Opolu, podczas której przedstawiano mi listy kandydatów. Dzięki cierpliwości i stanowczości udało się w końcu, oprócz dwóch wpadek, wprowadzić na stanowiska ludzi, z którymi można było pracować. Jednym z nich był jeden z moich byłych inspektorów, który objął stanowisko burmistrza w Koszęcinie, aż niestety zachorował i został zastąpiony przez mniej odpowiedniego człowieka. Nie wszystko złoto, co się świeciło, ale można powiedzieć, że na pewno nie było tak, że do urzędów wchodziło tylko kandydaci na emerytów o takim właśnie stylu.*

W Koszęcinie szczególnie dobrze sobie radził burmistrz Schöne, który wprawdzie był obcym, ale wszedł na swój urząd z tak niesamowitą energią i empatią, że później, kiedy burmistrz miasta powiatowego został żołnierzem, nadal pracował na szczeblu administracyjnym w Lublińcu. W każdym razie inne organizacje partyjne nie przeszkadzały administracji.

Przy urzędach wojskowych funkcjonowało wojskowe biuro meldunkowe i dowództwo okręgu wojskowego, które utworzono w Lublińcu. Współpraca układała się doskonale, w szczególności spotkałem się z dużym zrozumieniem ze strony majora Bereitera z wojskowego biura meldunkowego i pułkownika Plewiga z dowództwa okręgu wojskowego, jeśli chodzi o uzyskanie stanowisk uk (unabkömmlich – pracownik niezbędny dla produkcji)\* w niektórych firmach, czy to handlowych i rolniczych, poprzez uwzględnienie szczególnych okoliczności rozwoju tego terenu.

Przed I wojną światową Lubliniec posiadał garnizon składający się z batalionu piechoty i konnego szwadronu. Sztab był w Tarnowskich Górach. Polacy mieli oddział piechoty. Po 1939 r. do Lublińca przybył prowincjonalny batalion strzelców, a po 1942 r. przybył do Lublińca oddział zastępczy nr 8. W Lublińcu nie było innych garnizonów i obiektów Wehrmachtu. Pobory w tym zakresie odbywały się w trakcie opracowywania Volkslisty, tzn. początkowo do Wehrmachtu nie wcielano wszystkich, którzy nie byli jeszcze wpisani na Volkslistę. Ale ci, którzy byli teraz wpisani – z wyjątkiem kategorii 4 i 5, a były to bardzo nieliczne przypadki – zostali następnie powołani.

**Dr Hopf:**

Właściwa Volkslista powstała dopiero w marcu 1941 r., ale czy ludzie nie zostali powołani wcześniej?

**Starosta Wartmann:**

Nie dowiedziałem się o tym, chyba że nie było wątpliwości, że byli to Niemcy. Później niestety stało się tak: powiedzmy w poniedziałek ktoś został poinformowany, że jest wpisany na Volkslistę 5; wrócił do domu uszczęśliwiony i pełen entuzjazmu, a we wtorek lub środę został powołany do Wehrmachtu, co oczywiście często sprawiało wrażenie, nie do końca bezpodstawne, że niektórych nie wpisano by na listę, gdyby żołnierze nie byli potrzebni. W każdym razie pytano mnie o te sprawy tak często, że musiałem dojść do wniosku, że to połączenie wpisu na listę i poboru do Wehrmachtu nie przyniosło zbyt korzystnego efektu.

W odniesieniu do tematu Volksliste należy również zauważyć, co następuje: bardzo szybko po odzyskaniu wschodniego Górnego Śląska mieliśmy konferencję starostów i burmistrzów, która odbyła się w rejonie katowickim. I tam został nam ogłoszony plan byłego kierownika NSDAP i nadprezydenta Josefa Wagnera o tzw. „negatywnym doborze”. Należało najpierw przyjąć, że każdy na tym terenie jest Niemcem, aby potem ustalić, kto rzeczywiście jest Polakiem, jako taki podpada i się tak zachowuje, aby usunąć niepożądane elementy z tego obszaru. Pamiętam, że ten pomysł spotkał się z niepodzielnym aplauzem wszystkich. Wszyscy mieliśmy nadzieję, że stanie się to rzeczywistością, ale tak się nie stało i pamiętam dalej, że później w ankiecie na innej konferencji, wszyscy, z jednym wyjątkiem, wypowiadali się przeciwko temu realizowanemu już w powiecie Zawiercie planowi, a mianowicie ze znajomości trudnych warunków etnicznych i trudnej możliwości różniwania. Niczego sobie z tego obiecywaliśmy. Uważam, że realizacja listy to udowodniła. Oprócz tego, że początkowo budziła niepokój wśród ludności, im częściej była przeprowadzana, tym bardziej prowadziła do wyraźnych rozbieżności. Na przykład nauczyciele skarżyli mi się, że dzieci, których rodziny znajdują się na listach 1 i 2, nie bawią się z tymi z listy 5, i były też inne podobne rzeczy, które pokazały, jak niepokojące było to niefortunne przedsięwzięcie. Dla zilustrowania jej niewykonalności chciałbym posłużyć się następującym przypadkiem: małżeństwo z rodziny rzeźników w Lublińcu, dobrzy Niemcy, zostali umieszczeni na liście 1 lub 2 – przynajmniej otrzymali niebieską kartę. Wychowali swoje dzieci w języku niemieckim. Nie było tam szkoły mniejszości niemieckiej, musieli chodzić do szkoły podstawowej, ale nie było wątpliwości, że dzieci były wychowywane po niemiecku. Córka wyszła za mąż za okręgowego komisarza celnego, kongresowego Polaka. Dzieci z tego małżeństwa były teraz pod wpływem matki wychowywane w języku niemieckim. Co teraz zrobić? Zgodnie z wytycznymi mężczyzna jako wyraźny etniczny Polak nie mógł

zostać uwzględniony. Matka jednak – jej małżeństwo z Polakiem nie było związane z deklaracją narodowości, ale opierało się na relacjach międzyludzkich – także na nowo nauczyła swoje dzieci niemieckiego. Wnuki były w niemieckiej rodzinie swoich dziadków. Matka należała wtedy do listy 2 i tak postąpiłem, ale poradziłem ludziom, jako że ten wynik nie jest zadowalający, aby wnieśli odwołanie od mojej decyzji, żeby postępowanie mogło być kontynuowane. Ludzie już to zrobili, a ja zwróciłem uwagę na te trudności w załączonym sprawozdaniu. Węzeł gordyjski został następnie przecięty w taki sposób, że mężczyzna został przyjęty, a cała rodzina została sklasyfikowana w sekcji 3. W rzeczywistości nie odpowiadało to, co rozumie się przez sekcję 3. To było za dużo dla kongresowego Polaka, a właściwie za mało dla matki i jej dzieci. To naprawdę rażący przypadek, ale mieliśmy też wiele przypadków, w których nie do końca wiedzieliśmy, jak sobie pomóc podczas konsultacji, a potem tak się złożyło, że zasadniczo postępowaliśmy zgodnie z zasadą „in dubio pro reo” że lepiej było wpuścić całą rodzinę do Sekcji 3 niż spowodować bałagan. W raporcie o skutkach Volkslisty zwróciłem kiedyś uwagę, że im więcej będzie odrzuceń i że stanie się to znane za granicą, powiedziano by nam, że ten obszar w ogóle nie jest niemiecki i zgodnie z ustaleniami listy, obszar ten jest tak bardzo zaludniony przez Polaków, że jest to zdumiewające, gdy domagają się go Niemcy. Końca Volkslisty nie doczekałem się. Pamiętam tylko przybliżone wyniki do października 1942 r.: około 60% trafiło do działu 3, około 30% do działów 1 i 2, a resztę rozdzielono między grupę 4 i tych, którzy zostali odrzuceni. To były komisja pod przewodnictwem starosty, choć głosowania nie było, co wówczas nie było powszechne. Wszyscy mówili, co myślą; przedstawiciel służby bezpieczeństwa i starosta mieli prawo sprzeciwu. Z nielicznymi wyjątkami osiągnięto jednomyślność, tylko w niektórych przypadkach przedstawiciel służby bezpieczeństwa musiał zgodnie z wytycznymi zgłosić sprzeciw. Decyzje te trafiły następnie do sądu apelacyjnego. W każdym razie można powiedzieć, że Volkslista w żadnym wypadku nie może być uważana za coś, co przydało się nam na Górnym Śląsku. Bez spisu ludowego poradzilibyśmy sobie lepiej, nawet gdyby kilku Polaków lub ludzi z polsnością potrafiło się skutecznie zakamuflować.

W kwestii spraw kościelnych należy przekazać, co następuje: z jednej z takich pierwszych konferencji starostów po 1 września 1939 r. przypominam sobie, że osiągnięto zgodność, jak i też idący w tym kierunku pogląd prezydenta rejencji w Katowicach, żeby stopniowo zastępować mszę w języku niemieckim, tzn. aby najpierw wszędzie odbywała się msza po niemiecku, nie zanikając mszy po polsku, potem stopniowo zakres mszy niemieckich powinien się zwiększać wraz ze spadkiem mszy polskich. Kiedy potem poszedłem do niektórych duchownych, aby zwrócić im uwagę na tę praktykę, bo takich rzeczy nie powinno się załatwiać w dekretach i pismach, spojrzeli na mnie ze zdumieniem, a potem powiedzieli do mnie: „Panie starosto, czy pan nie wie, że Gestapo było już u nas i zabroniło nam odprawiać polskie nabożeństwa. Nabożeństwa mają być tylko w języku niemieckim”. W ówczesnej sytuacji naturalnie powstrzymałem się od jakiegokolwiek krytyki w obecności duchowieństwa, ale wiem, że nie tylko ja, ale i inni koledzy protestowaliśmy przeciwko tym metodom. Nie odnieśliśmy już sukcesu, sprawa była przesądzona. Duchowieństwo w ogóle zachowywało się wyjątkowo poprawnie. Powiat był w przeważającej części, w około 96%, katolicki, a Kościół niezwykle umiejętnie dobierał duchownych. Większość wcześniejszych duchownych zniknęła. Pamiętam 5 duchownych, którzy walczyli na froncie I wojny światowej, jeden odznaczony nawet Krzyżem Żelaznym I klasy, czyli wszystko ludzie, których nie można winić ani oskarżyć, że jakoś nic nie robili dla ojczyzny lub nic sobie z niej robili. Starłem się wtedy im trochę ułatwić życie pod wieloma względami i muszę też powiedzieć, że duchowni wykazali się dużą wnikliwością i zrozumieniem, np. z obfitością świąt na naszych katolickich terenach Górnego Śląska – nie należy już obchodzić ich właściwego dnia, ale w najbliższą lub poprzednią niedzielę. Nie można było tego jednak przekazać na piśmie. Co zrobić teraz? Warunki komunikacyjne były złe, ponieważ polska linia kolejowa przebiegała tylko w kierunku północ-południe; połączenia były złe, tak że niektórym duchownym zajęłoby 1 1/2 dnia, aby dowiedzieć się od starosty, że to lub inne święto przypada dopiero w następną niedzielę. Podczas moich podróży służbowych, które i tak musiałem odbyć, od-

wiedziałem na krótko duchownych i prosiłem ich o przestrzeżenie tego nakazu, i nie przypominam sobie ani jednego przypadku, aby duchowny tego nie robił.

**Dr Hopf:**

*Dlaczego dekrety te nie miałyby być wydawane na piśmie?*

**Starosta Wartmann:**

*Też nie wiem dlaczego. Mogę sobie wyobrazić, że nie do końca było to zgodne z ustawą o świętach. Warto również wspomnieć o odsetku ludności żydowskiej. Już w dobrodzieńskiej części powiatu było tylko kilku (informacja błędna)\* Żydów, których można było policzyć na palcach. Był to właściciel ziemski Hepner (zamordowany w Theresienstadt)\* w Johannahof (Bzionków)\*, kupiec Siedner w Dobrodzieniu i starsza para małżeńska Brauer, którzy byli oberżystami i mieli jedną córkę (Kate, zmarła 10-letnia w 1936 r., pochowana na naszym cmentarzu żydowskim; cała wieloosobowa rodzina zginęła w różnych obozach koncentracyjnych)\*; mężczyzna był służącym w synagodze. W synagodze nie odbywały się już nabożeństwa, ponieważ nie było gminy żydowskiej. W części lublinieckiej jeszcze w okresie polskim mieszkało w powiecie zaledwie kilku Żydów, co udało mi się ustalić z ankiety. Część właścicieli większych gospodarstw była Żydami, ale już ich tam nie było, gdy 4. września 1939 r. wkroczyły wojska. Musieli wcześniej uciec. Gospodarstwa były wówczas zajmowane przez syndyków, także z kuratorium głównego, jeśli zajmowały się działalnością handlową, tak że w powiecie lublinieckim w czasie wojny, dzięki Bogu, nie powstała żadna kwestia związana z polityką żydowską.*

*Niewiele mogę powiedzieć o konspiracji i działalności partyzanckiej z własnego doświadczenia. O tym, że konspiracja bardzo wcześnie próbowała się organizować i prawdopodobnie też umiała się organizować, świadczy opisana przeze mnie na początku sprawa, w której aresztowano stenografistkę z rodziny etnicznie niemieckiej, ponieważ pracowała w biurze kontaktowym punktu ruchu podziemnego. Poza tym w okresie do 1942 r., przynajmniej w administracji ogólnej i wśród ludności, partyzantów było mało. Nie wiem, w jakim stopniu Gestapo miała jakieś dokumenty. Jawne pojawienie się konspiracji w postaci działalności partyzanckiej nastąpiło dopiero w latach 1944/45. Na urlopie opowiedziano mi rzeczy, które dały mi wiele do myślenia. Napadano np. na zagrody, w których przebywał urlopowicz. Nic im nie zrobiono, tylko zabrano im mundury i broń, którą musieliśmy zabierać ze sobą na urlop z frontu wschodniego. Takie przypadki zdarzały się na terenie powiatu kilkakrotnie. Starsza kobieta z jednej z naszych wiosek została pewnego dnia nagle uprowadzona przez pasażera samochodu. Porwana, wróciła po kilku dniach – została ponownie zwolniona na odludziu, nikt jej nie skrzywdził, wręcz przeciwnie, zapewniono jej jedzenie i zapłatę. Zabrano ją tylko do cerowania i robót krawieckich w obozie partyzanckim. Mówi się, że przydarzyło się to lekarzowi, którego zabrano ze sobą tylko w celu leczenia tam chorych i który miał zasłonięte oczy i odwieziono go na terenie jego pracy. Tyle słyszałem od osób trzecich o ruchu partyzanckim.*

**Dr Hopf:**

*Byli to partyzanci, którzy przybyli z Generalnej Guberni, czy składali się z miejscowej ludności?*

**Starosta Wartmann:**

*Po wojnie rozmawiałem z rodakami, którzy byli tam przez całą wojnę. Poinformowali mnie, że obozy partyzanckie znajdowały się w powiatach Zawiercie i Blachownia, gdzie były rozległe lasy, i że stamtąd prowadzili swoje działania.*

**Dr Hopf:**

*Jakieś akcje odwetowe ze strony niemieckiej chyba nie zostały podjęte?*

**Starosta Wartmann:**

*Nic o tym nie słyszałem. Zakwaterowanie ewakuowanych ze starej Rzeszy po bombardowaniach odbyło się w okolicach jesieni 1942 r., sam tego nie widziałem, bo pojechałem na front w październiku 1942 r. Kiedy przyjechałem na urlop, zastałem ewakuowanych w naszym mieszkaniu i byli też w powiecie, nie potrafię powiedzieć w jakiej ilości. W każdym razie ten rejon był bezpieczny,*

bo było tylko jedno uszkodzenie bombowe i to było podczas jednego z moich urlopów, o ile się nie mylę, w 1944 r.; w tym czasie nieprzyjacielski dywizjon bombowy, najwyraźniej chcąc sobie ulżyć, zrzucał bomby na ślepo na pole w pobliżu wsi Lubecko; pojawił się tam ogromny krajobraz lejkowy. W 1944 roku rozpoczęto budowę pozycji wokół granicy z lat 1914–1918, gdzie nasz obszar wschodnio-górnośląski stykał się z dawną Kongresówką, głównie w okolicach miasteczka Woźniki. Tego też nie wiem z własnego doświadczenia, ale tylko dlatego, że moja żona sama tam jeździła na budowę szanców. Okopy te nie miały tam żadnego znaczenia. Kiedy Armia Czerwona posuwała się naprzód w styczniu 1945 r., nie stawiano tam żadnego znaczącego oporu. Volkssturm jeszcze się formował, ale wiem to tylko z opowieści na spotkaniu rodaków, że Volkssturm siedział też w moim mieszkaniu. Nigdy nie słyszałem, czy Volkssturm tam wszedł do akcji. Kierownikowi szkoły w Dobrodzieniu – był on podpułkownikiem rezerwy – przydzielono, jak sądzę, oddział Volkssturmu. Mogę tylko powiedzieć o ewakuacji ze źródła z trzeciej ręki. 19. stycznia 1945 r. nagle ogłoszono, że ludność musi zostać ewakuowana i że pociągi są podstawiane. Zostało tylko kilka godzin na tę akcję, i wiele ludzi wyjechało powozami i tam, gdzie posiadali czerwone trójkąty, samochodami. Z tego też powodu nasi ludzie nigdzie się nie osiedlili w jednym miejscu. Na przykład tutaj, w powiecie Goslar, mamy dużą liczbę osób z dolnośląskiego powiatu Żąbkowice Śląskie. Można to wytłumaczyć tym, że z zachodniego brzegu Odry odjeżdżano w zwartych i zorganizowanych grupach, podczas gdy uderzenie na nas przyszło tak nagle, że wszystko rozpieczęściło się na cztery wiatry.

**Dr Hopf:**

*Czy wiadomo coś Panu na temat zastoju fabryk lub demontażu?*

**Starosta Wartmann:**

*Nic o tym nie słyszałem. Mogło się to co najwyżej wydarzyć w NATRONAG w Kaletach, wtedy był to jedyny duży zakład przemysłowy, ale coś o tym można by się dowiedzieć w samym NATRONAG. Firmę przejął później dyrektor Schumann, który obecnie pracuje w jednym z zakładów tej grupy w południowych Niemczech; mógłby powiedzieć kilka rzeczy o kontynuacji NATRONAG i ewentualnym demontażu. Jeden zakład jest tutaj, w Oker, łatwo to sprawdzić. Jeśli chodzi o akta starostwa powiatowego, pan Schirmer, dyrektor biura starostwa, poinformował mnie, że wszystkie tajne sprawy zostały spalone. O ile pamiętam, dołączono także pliki Volkslist, inne materiały pozostawiono.*

**Dr Hopf:**

*Czy w Pańskim powiecie wydarzyło się coś związanego z 20 lipca (dzień zamachu na Hitlera w 1944 r.)\*?*

**Starosta Wartmann:**

*Przypadkowo byłem 20 lipca w Lublińcu. Byłem na dodatkowym urlopie, bo mój syn miał zagrożającą życiu operację, a ja nie spędziłem jeszcze 3 dni na tym urlopie, kiedy sam trafiłem do szpitala w Lublińcu i tak znalazłem się tam 20 lipca. Panowało ogólne podniecenie, jakie wywołało to wydarzenie, ale w powiecie nie podjęto żadnych działań. Pytałem mojego zastępcę, administratora powiatu Jenknera w Oleśnie, ale mógł mi tylko powiedzieć, że tutaj nic się nie wydarzyło.*

**Dr Hopf:**

*Wróćmy do Powiatu Dobrodzień? Kto był Pańskim poprzednikiem?*

**Starosta Wartmann:**

*Moim poprzednikiem był dr. Wagner, który teraz pracuje jako prawnik i notariusz, jeśli się nie mylę, w Wuppertalu. Nadal uczestniczy w naszych corocznych spotkaniach ojczystych, a jego adres można znaleźć w naszym archiwum w administracji miasta Haan, w regencji Düsseldorf. Dyrektor Urzędu Powiatowego Schirmer był dla nas niezwykle cennym archiwum. Gdy opuszczał w 1922 r. teren, pracował już w gminnej administracji powiatowej i sam był świadkiem przekazania go Polsce. A dla starszego pana była to bardzo szczególna radość i satysfakcja, że mogliśmy jako pierwsi wrócić do starego budynku 1. września 1939 roku. Dyrektorem starostwa był już za mojego poprzednika, starosty Uliczki, który był nim do 1933 r.; ówczesny starosta dr Wagner, którego zastąpiłem w 1937 roku, nie pochodził z administracji – był prawnikiem.*

**Dr Hopf:**

*Jak przejęcie władzy wpłynęło na tamtejszą kadrę?*

**Starosta Wartmann:**

*Nic nie mogę powiedzieć o 1933 r. Objąłem powiat w 1937 roku. Komendant okręgowy (NS-DAP) Lehmann zarzucał mi, że nie mogę mu od razu powiedzieć, który z moich pracowników był członkiem partii, a kto nie, bo nie pytałem, więc nie wiem, kto był tam wcześniej, a potem na podstawie ustawy o zawodowych urzędnikach służby cywilnej został usunięty.*

**Dr Hopf:**

*Jak wyglądała sytuacja gospodarcza w powiecie przed 1933 rokiem?*

**Starosta Wartmann:**

*Gospodarka była tam bardzo zła. Niefortunna sytuacja graniczna dawała się wyjątkowo we znaki, ponieważ przerwane zostały połączenia wschód–zachód, ciągnące się dalej do Polski, linia Opole–Fosowska, a następnie połączenie północ–południe z wrocławskim okręgiem przemysłowym. Szła przez Lubliniec i na tym się dla nas kończyła w powiecie Dobrodzień. Sytuacja ekonomiczna była wyjątkowo zła. Pamiętam, że mój poprzednik Wagner musiał uzyskać ogólną subwencję finansową w wysokości 1 000 000 RM, aby przywrócić jakiś porządek. Pieniądze te były potrzebne do utrzymania powiatu, który miał niewystarczające dochody i zbyt duże długi, choć obecnie prawdą jest, że długi te wynikały nie tylko z nędzy gospodarczej, ale także z tego, że mój poprzednik Uliczka pokładał swe wielkie ambicje w stworzeniu doskonałej sieci drogowej, co mu się udało, ale powiat mocno się zadłużył. Nawet jeśli to było bardzo miłe, że miałem dobre drogi, było to tym bardziej niekorzystne, gdy rozdzielano środki, np. z nadwyżki środków z ubezpieczenia od bezrobocia; wtedy zawsze było: „Pana kolej, Wartmann, jest daleka, Pańskie ulice są uporządkowane, inne powiaty są pierwsze w kolejności”.*

**Dr Hopf:**

*Jakie specjalne środki gospodarcze podjęto po 1933 roku?*

**Starosta Wartmann:**

*Szczególny nacisk położono na ulepszanie gleby. Ale nie wiem, kto to zrobił po 1933 roku. Za moich czasów zrobił to nieżyjący już inżynier kulturywacji Passen. Jego następcą zginął. Melioracje mamy w każdym miejscu, m.in. przeprowadzone przez Służbę Pracy Rzeszy. U nas nie przeprowadzono działań industrializacyjnych, nie dostaliśmy szansy. Część powiatu Dobrodzień została zelektryfikowana w 1937 roku, z wyjątkiem gmin Koszvice i Klekotna. Koszvice zdołano podłączyć na początku wojny, ale Klekotną nie. W części lublinieckiej była elektryczność na zachodzie, a potem na wschodzie wzdłuż drogi prowadzącej do powiatu Tarnowskie Góry. Elektryfikacja tej części powiatu była znacznie mniejsza niż dobrodzieńska.*

**Dr Hopf:**

*Jakim majątkiem dysponował powiat Dobrodzień? W budżecie na 1944 r. wymieniono łącznie 1 165 679 RM. Ta liczba dotyczy prawdopodobnie obu części powiatu?*

**Starosta Wartmann:**

*W części dobrodzieńskiej znajdowały się: budynek administracji powiatowej, w skład którego wchodziło szereg domów dla pracowników powiatowych. Nie pamiętam, ile było mieszkań, chyba 5–6. Powiat posiadał również szkołę rolniczą w Dobrodzieniu oraz szereg domów należących do żandarmerii, większość których za mojej kadencji zdołałem sprzedać Rzeszy. Pan Schirmer udziela dokładnych informacji na ten temat. Mieliśmy tzw. powiatowy urząd energetyczny, to znaczy, że sami nie wytwarzaliśmy prądu, dostawaliśmy go linią energetyczną z Nysy, ale byliśmy dystrybutorem, więc mieliśmy własnego majstra elektryka z personelem, a sieć, o ile nie była to sieć lokalna, również należała do powiatu. W tym też była spora zaleta. Ponadto mieliśmy udział w kolei Dobrodzień–Fosowska, która była kolejką dowozową z Dobrodzienia do linii Opole. Zaangażowane w to było państwo pruskie, powiat Dobrodzień, miasto Dobrodzień, a dalej była jeszcze prywatna część dawnej saksońskiej rodziny królewskiej, która posiadała majątek w naszym*



*powiecie. Kiedy tam dotarłem, burmistrzem w Dobrodzieniu był Bauermeister. Był to już trzeci burmistrz od stycznia 1933 roku. Człowiek musiał wielokrotnie wymieniać poprzedników, czego i mnie nie oszczędzono. Pewnego dnia, na krótko przed wojną, musiałem oświadczyć burmistrzowi Bauermeisterowi, aby zrezygnował z tego urzędu i udał się gdzie indziej. Ale potem trafiłem na bardzo zdolnego burmistrza, burmistrza Kulpocka, który jest teraz na emeryturze i mieszka w Niemczech Zachodnich. Jest bardzo aktywny, a jego adres można znaleźć w spisie adresów w Haan. Pan Kulpock był bardzo przedsiębiorczym burmistrzem, który zajmował się wieloma projektami, takimi jak nowa remiza strażacka. Wcześniej był urzędnikiem w jednym z dużych miast przemysłowych, Bytomiu, Gliwicach czy Zabrze.*

---

*(...)\* – tekst kursywą w nawiasach jest przypisem tłumacza*